

Barbara Zwolińska

Na peryferiach wielkich miast – casus Sándora Máraia, literata i podróżnika

Jednak Książki. Gdańskie Czasopismo Humanistyczne nr 1, 51-71

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

JEDNAK KSIĄZKI

GDANSKIE CZASOPISMO HUMANISTYCZNE

2014 nr 1

(mało)miejskość

STUDIA

NA PERYFERIACH WIELKICH MIAST.

CASUS SÁNDORA MÁRAIA

– LITERATA I PODRÓŻNIKA

BARBARA ZWOLIŃSKA

„Nauczyłem się” podróżować, zdobyłem rutynę, do jakiej się dochodzi w wykonywanym rzemiośle. W coraz mniejszym stopniu czułem, że podróż jest w moim życiu nieuchronnością; i po dziś dzień wyruszyć ze znanego jest dla mnie czymś ważniejszym, niż przybyć do nieznanego¹.

Doświadczenie podróży stosunkowo wcześniej staje się udziałem węgierskiego pisarza, Sándora Máraia, współtworząc etap edukacji w zakresie studiów dziennikarskich na uniwersytecie w Lipsku i praktycznego zastosowania zdobytej wiedzy w pracy zagranicznego korespondenta. Wiąże się również z ucieczką dziesiętnastoletniego młodzieńca przed ewentualnymi represjami politycznymi po upadku Węgierskiej Republiki Rad. Pierwsza, powojenna emigracja wyznaczy szlak podróży i miejsc, do których Márai będzie i później powracał, konfrontując wcześniej zapamiętane obrazy, dźwięki i zapachy z tymi, które złożą się na zmieniony w latach czterdziestych i późniejszych świat. Lipsk, Berlin, Frankfurt, Paryż, Londyn, Wiedeń, Wenecja, Rzym, Neapol, Posillipo – to tylko niektóre z odwiedzanych miast. Pisarz, niekoniecznie z własnej chęci i zamiłowania, przemieni się w obywatela świata, smakując życie nie jak swobodny,

¹ S. Márai, *Wyznania patryjuszka*, przeł. i posłowiem opatrzyła T. Worowska, Warszawa 2002, s. 526 i 527.

głodny wrażeń *homo viator*, lecz ktoś, kto tylko przejazdem zatrzymał się w miejscu będącym tymczasowym przystankiem na drodze do jedynej, upragnionego, choć utraconego świata, jakim jest rodzinna Kassa czy, w innym sensie, Budapeszt². Tym, co decydowało o odmienności obu światów, które nigdy zejść czy przybliżyć się nie mogły, był nieodnajdywany nigdzie indziej zbiór idei oraz wartości współtworzących tradycję węgierskiego patrycjatu, jakże inną w swym niepowtarzalnym, lokalnym charakterze od tradycji mieszczańskiej ówczesnej Europy.

Dla Máraia-podróżnika postrzeganie analogii pomiędzy życiem a podróżą nie było wytartym sloganem, modną etykietką zblazowanego dandysa, lecz głęboko odczuta prawda egzystencji człowieka-wygnańca, pozbawionego miejsca zakorzenienia, rodzinnego gniazda, kraju i kontynentu. Dlatego na krótki czas formą obrony przed ostateczną utratą domu jest włoskie Posillipo, bo to jednak Europa, a nie Ameryka. A i raczej przymusowy wybór San Diego, będącego nieudaną kopią włoskiego (czyli europejskiego) miasta nadmorskiego, zdaje się potwierdzeniem rozpaczliwego pragnienia bycia choć trochę u siebie, w Europie.

W wymiarze węższym Márai odbywa peregrynacje po miejscach i w czasie powojennym i międzywojennym, w szerszym – po tematach i tradycji, aktywizując mit Casanovy, Sindbada, Ulissesa, by z tych doświadczeń, refleksji i obserwacji wykuć formułę swego indywidualnego losu, który przemienia się w uniwersalną figurę pisarza-wygnańca, emigranta niegodzącego się na ostateczne zatarcie węgierskiej tożsamości, czym byłaby rezygnacja z języka węgierskiego – jedynej namiastki ojczyzny zabranej na amerykański kontynent.

Márai, odysejski i faustyczny podróżnik, humanista gnany niepokojem o los gwałtownie i bezświadomie zmieniającej się Europy, powierzchownie zamerykanizowanej, w szkicach z podróży daje się poznać jako wytrawny obserwator dynamicznych zjawisk rozdzierających współczesny mu świat. Przechadza się nieśpiesznie po różnych miejscach i zakątkach Europy i Bliskiego Wschodu, nie jak głodny wrażeń turysta gromadzący wizualne obrazki na fotografiach z Kodaka, lecz zadumany filozof, impresjonistyczny malarz słowa, rzucający zapamiętane obrazy na papier. Staje się mistrzem opisu, jakże innego od rozbudowanych scen z *Żaru* czy z *Występu gościnnego w Bolzano*³, przedkładając szkicowość nad rozlewność, ironię i dystans nad sentymentalizm. Zapisy z podróży

² O przywiązaniu do tych miejsc pisał nieustannie, nie tylko w *Wyznaniach patrycjusza*, ale i w *Dzienniku, Wspomnieniu z Kassy, w Sindbadzie powracającym do domu, Niebie i ziemi*, w sadze o Garrenach, w *Ziemi! Ziemi!* czy w *Obywatelach koszyckich*. Próbe oglądu miejsc pisarzowi bliskich podjęła Irena Makarewicz w szkicu *Paryż-Koszyce-Nony Jork-Budapeszt-Salerno. Śladami Sándora Máraiego*, „Topos” 2009, nr 4, s. 29–35.

³ Te wczesne powieści Máraia z lat czterdziestych XX w. znane są polskiemu czytelnikowi z przekładów Feliksa Netza. *Żar* jest pierwszą powieścią przetłumaczoną na język polski w 2000 r.

zamieniają się w osobliwy album wędrowny, szkicownik zawierający literackie obrazki skreślone ręką tego, który nie żywiąc ambicji do uogólniania swych przeżyć i doświadczeń, podkreślając dystans do tego świata, który na krótko tylko nawiedza, nie rości sobie pretensji do zbadania jego skomplikowanych mechanizmów⁴. Postawa filozofa-humanisty uczy bowiem pokory, zgody na poznawczą bezsilność, uznania wielości i różnorodności miejsc i zdarzeń, barwności i przemienności za coś, co wymyka się porządkującym i uogólniającym zabiegom człowieka. Względność i zmienność, trudno uchwytna esencjonalność, są przecież domeną świata w kryzysie, świata rozpadających się form i wartości. Ale jednocześnie Márai napisze z przekonaniem, że: „cokolwiek się dzieje, jest jednakowo ważne i ciekawe, całościowe i równoczesne, warte publikacji”⁵.

Jego zbiór *Z podróży* sprawia wrażenie subtelnych fotografii przesyconych urodą i przemijalnością miejsc i czasu, które warto zatrzymać w pisarskim kadrze. Nietrudno zauważyć, że te, wydawałoby się migotliwe, subtelne szkice są niezwykle szczegółowe, docieklive, bo subiektywność łączy się tu ze spostrzegawczością. To niejako „dziennik nastrojów i momentów”⁶.

Dla Máraia ważny jest etap drogi, której nie skraca, bo jego podróżowanie jest wojażem w dawnym stylu: niespiesznym, kontemplacyjnym, jest odkrywaniem miejsc i szczegółów nie z kart bedekerów, lecz z tych nieobecnych w nich. Márai to podróżnik dystygowany, dostoyny, to „domownik Europy”, ale nie kosmopolita, jak zauważa Agnieszka Sowińska⁷. To również wędrowiec z wyboru, swobodny podróżnik, z prawdziwą pasją kontemplujący zmieniający się świat, przebiegający kontynenty niczym romantyczny wojażer w wielkiej Grand Tour⁸.

⁴ Jak zauważa Teresa Worowska: „Zakończywszy lekturę [*W podróży* – przyp. B.Z.], czytelnik pozostaje z przekonaniem, że niczego właściwie nie sposób poznać do końca”. Zob. tejeż, *Niepokojąca wieloznaczność*, [w:] S. Márai, *W podróży*, wyb., tłum. i posłowie T. Worowska, Warszawa 2011, s. 199. Dalsze cytaty z tego wydania lokalizuję, podając numery stron w nawiasach.

⁵ S. Márai, *Wyznania patryjuszka...*, s. 324. Jako początkujący dziennikarz niemieckiego „Drache” był przekonany, że „dziennikarstwo [jest] organicznym przymusem [jego] systemu nerwowego”, obserwacja życia zaś – „pilnym zadaniem”, tamże, s. 325.

⁶ G. Krzymianowski, *Kontemplacje*, www.literatki.com//p=4286 [dostęp: 21.03.2012].

⁷ A. Sowińska, *Márai nie był kosmopolitą. Był domownikiem Europy*, www.dwutygodnik.com/artukul/3036 [dostęp: 1.04.2012]. Inaczej ocenia doświadczenia podróżne Máraia Monika Małkowska, widząc w szkicach *Z podróży* „psychologiczny, emocjonalny i intelektualny portret pisarza, niby emigranta, jednak obywatela świata, kosmopolitę” oraz „Odyseusza XX wieku, którego gnało przez kontynenty nie tyle z nakazów losu, co z wyboru”. Według autorki pisarz przemierzał kontynenty „w zastępstwie studiów ontologicznych. Uczył się teorii poznania – poznając”, a także szukając siebie. Zob. M. Małkowska, *Węgierski Odyseusz poznaje świat, „Rzeczpospolita”*, www.rp.pl/artukul/9148,833309 [dostęp: 1.04.2012].

⁸ Do romantycznego podróżnika porównuje Máraia Krzysztof Cieślík, podkreślając widoczne w jego relacjach poczucie humoru, ironię wobec siebie i bliźnich, a także zestawiając szkice *Z podróży* z *Listami z podróży* Karela Čapka. Zob. K. Cieślík, recenzja książki: Sándor Márai, *W podróży. Wędrowniec z wyboru*, www.polityka.pl/kultura/ksiazki/recenzjeksiazek/1523563,1 [dostęp: 4.04.2012].

Pisane na zamówienie korespondencje dziennikarskie przemieniają się w nawyk notowania wrażeń podróży, tym bardziej że właśnie ta forma poznawania i doświadczania świata staje się prawdziwą pasją, równoznaczną z życiem. Autor rejestruje różne przejawy bujnego życia, przenika sensoryczną tkankę miejsc odwiedzanych, niczym czuła fotograficzna błona przeświewa świat barw, smakuje życie w najdrobniejszych jego szczegółach, tworząc sugestywne i dynamiczne migawki, jak ten obrazek paryski z 14 września 1924 r., utrwalający kwintesencję i osobliwość wielkomiejskiej przestrzeni w dynamice zdarzeń, postaci, gestów, zwyczajów kultywowanych przez nieodłącznych mieszkańców metropolii, bytujących jednak na peryferiach, w zaułkach i zakątkach rzadko odwiedzanych przez turystów. Takim jest choćby ów żebrak raczący się w południe zwyczajową przekąską, rozkładaną na asfaltowej ulicy z pieczołowitością i pedanterią godnymi najlepszej paryskiej restauracji. Obrazek wydawałoby się niepowtarzalny, ale zbliżone zachowania pisarz zaobserwuje po latach we włoskim Posillipo, przypatrując się sprzedawcy orzeszków ziemnych, nędzarzowi zachowującemu dumę i godność, uwieczniając scenę jego posiłku w *Krwi świętego Januarego*⁹.

54

Ów żebrak, podobnie jak uliczni artyści grający i śpiewający w ulewnym deszczu z taką maestrią i powagą, jakby ich udziałem był występ w najlepszych operach świata, stanowią o niepowtarzalności paryskich ulic, współtworzą ich klimat, ów *genius loci* tego miejsca, które w zamian obdarowuje mieszkańców, również tych z nizin, kulturą, której – jak pisze Márai – „jest tu tak wiele, że w ciągu tysiąca lat jej okruchy spadają nawet na stół żebraków” (s. 9).

Tradycja przemawia i prześwieca przez szczegóły, nicując na wskroś tzw. paryskie życie, które może i jest pełne tandety i blichtru, zarażając kolejne pokolenia obietnicą cygańsko-kawiarnianego luzu, ale przecież w żadnym innym mieście na świecie nie spotka się takich osobliwości, jakie oferują francuska ulica, kawiarnia, bulwar i teatr. Márai doceniał paryską odrębność, ów szyk i styl, które próbowano gdzie indziej naśladować, a nawet przenieść gotowe rozwiązania urbanizacyjne, choć bywało i odwrotnie, jak przekonuje przebudowa Paryża w XIX w. czyniona na zlecenie Napoleona przez prefekta departamentu Sekwany, Georges’a Haussmanna, skutkująca wyburzeniem wielu średniowiecznych zabytków, przebudowa będąca wynikiem zapatrzenia francuskiego władcy na angielską stolicę.

⁹ Zob. B. Zwolińska, *Pisać to znaczy żyć. Szkice o prozie Sándora Máraia*, Gdańsk 2011, fragment „Być arystokratą ducha”, s. 337–343. Por. też Z. Kadłubek, *Negocjator królewskiego życia. Esej o mistrzostwie*, [w:] *Nie byłem sam. Na siedemdziesięciolecie urodzin Feliksa Netza*, pod red. M. Kisiela i T. Siernego, Katowice 2009. Polskie wydanie powieści S. Máraia *Krew świętego Januarego* w przekładzie F. Netza, Warszawa 2006.

W głębi duszy Márai zachowywał wobec Paryża powściągliwy dystans. Nigdy też nie polubił oschłych, oziębłych i obojętnych dla cudzoziemców Francuzów, bardziej filisterskich niż każda inna nacja, prześcigających w drobnomieszczańskich przyzwyczajeniach nawet Niemców i Anglików. Pisarz nie planował pobytu w stolicy Francji dłużej niż na kilka miesięcy, zwłaszcza po zetknięciu się z bezdusnością ze strony paryżan, za którą niemal zapłaciła życiem jego żona, Lola. Ostatecznie Máraiowie spędzili tu sześć lat, nie asymilując się jednak w tym środowisku, zawsze pozostając na zewnątrz, w pozycji obserwatorów. Niewątpliwą korzyścią pobytu w Paryżu będzie wyostrenie zmysłu obserwacji, udoskonalenie sztuki lakonicznego przekazu, rozwinięcie umiejętności szybkiego reagowania na tzw. sensację, którą można odszukać w codziennych, wydawałoby się całkiem zwyczajnych wydarzeniach.

Tak jak koloryt lokalny paryskiej ulicy tworzą żebracy, kloszardzi, wędrowni artyści i śpiewacy, tak i zagraniczni korespondenci, odziani w nieodłączne płaszcze przeciwdeszczowe, muszą zaistnieć w tym miejscu, aby je opisać, aby świat, ten bliższy i dalszy, otrzymał codzienną dawkę taniej sensacji. Siłę talentu wysłanników gazet stanowi wytropienie niezwykłości, tam zaś, gdzie jej brakuje – wykreowanie, czy choćby podkoloryzowanie szarości i nijakości¹⁰.

Paryż pozostanie dla Máraia miejscem szczególnym. Tutaj spędził z żoną sześć lat młodości w „dusznej, zapleśniałej biedzie”, w „nieznośnie brudnych hotelach”, „pośród ogólnego brudu i rozkładu”¹¹, w atmosferze nudy, beczynności, smutku i samotności, z której długi czas nie potrafili się wyrwać. Ten arystokrata ducha bytował na antypodach, w peryferyjnym cieniu, choć jeszcze nie żebrak uliczny i kloszard, to jednak bliższy im niż bywalcom kawiarni i salonów. Bieda zmuszała Máraiów do sprzedawania ubrań, aby opłacić kolację. Doskwierała im obojętność Francuzów, obcość miasta, a nawet jego wrogość i prymitywność. Prowadzili życie wygnańców, którzy paradoksalnie na ten los skazali się dobrowolnie. Pierwszy pobyt w Paryżu lat dwudziestych zakończył się chorobą Loli i rozstaniem małżonków. Lola wróciła do Koszyc, pisarz udał się do Włoch, m.in. do Florencji, gdzie odnalazł spokój i wyciszenie, tak pożądane po traumatycznych, paryskich przeżyciach.

Z innej perspektywy postrzegany jest Paryż lat trzydziestych. Zmieniła się sytuacja Máraiów. Stać ich już było na wynajęcie samodzielnego mieszkania i sprowadzenie węgierskiej służącej, mogli sobie pozwolić na lepsze jedzenie, na zwiedzanie miasta i jego okolic podczas wypraw zakupionym autem, którym udali się m.in. na prowincje

¹⁰ Zob. S. Márai, *W podróży...*, szkic *Korespondent paryski* z 22 sierpnia 1933 r., s. 11–14.

¹¹ S. Márai, *Wyznania patrycjusza...*, s. 441 i 445.

„pracujące” na dobrobyt stolicy. Jak fotoreporter Márai odwiedzał palarnię Ritza, kawiarnie na Montparnassie, ogrody Tuileries i inne paryskie zakątki, które „fotografował oczyma i duszą”, wśród których biegał jak „młody psiak spuszczonej ze smyczy”, „węszył”¹² w poszukiwaniu tematu do reportażu. Powoli też małżonkowie asymilowali się w tym środowisku, „francuzieli”, choć – podsumowując ten okres, „rozświetlony równym słonecznym światłem” – Márai zauważy, że „w Paryżu na zawsze [pozostał] obcy. [...] Był[em] wśród nich, ale nie był[em] z nimi, przeżył[em] pomiędzy nimi te lata w dziwnej bezosobowości”¹³.

W szkicach podróży specyfikę przedwojennego Paryża z początku lat trzydziestych autor widzi nie tylko w imponujących zabytkach architektonicznych, zbiorach sztuki muzealnej czy w bogactwie i różnorodności oferowanego repertuaru teatralnego. Z dystansem przygląda się dyskutującym w kawiarniach literackich artystom, bo drażni go ich zblazowanie i pogarda dla świata filistrów¹⁴. Bliższa jest mu paryska ulica, nawet nie ta reprezentacyjna, Champs-Élysées, która – jak zauważa – „schodzi na psy”¹⁵, lecz boczne zaułki, niechętnie odwiedzane przez turystów, miejsca zalane przez tandetny towar, przesycone zapachami z garkuchni dla biedaków, z odrapanymi fasadami domów i mieszkańcami grzeszącymi skłonnością do występku. Zresztą, przyglądając się gwałtownym zmianom na Champs-Élysées, Márai dochodzi do przekonania, że nie ma nic pewnego i trwałego, bo Paryż, „zwycięski, bogaty i niedostępny” (s. 20), nie pozostanie takim na zawsze. To mieszkańcy i ich bogactwo decydują o rozkwicie pięknych arterii, podobnie jak o ich sławie stanowią licznie tu przybywający turyści. Ukorzona w swej dumie Champs-Élysées staje się symbolem przemian, które dotykają przedwojenny, stabilny świat, zbliżając biedaków do arystokracji, równając wyżyny do nizin. Obserwując upadek niegdyś drogiej i ekskluzywnej ulicy Paryża, owej „jaśniejącej, roziskrzanej obręczy na czole miasta” (s. 21), pisarz dochodzi do wniosku, że „taka rzecz dzieje się prędko” (s. 20), skutkując zalaniem wystaw i kramów tandetnym towarem i poślednią rozrywką. Ale, co ciekawe – w tej deklasacji i upadku dostrzega piękno „bezpośredniości i naturalności” (s. 22). Dopiero teraz, po zdjęciu upiększającego sztafażu drogich, zbyt kownych błyskotek bez charakteru, ulica odzyskuje swoją prawdziwą twarz, stając się miejscem dla ludzi, a nie muzealną dekoracją dla wybranych. Jej proletariacki charakter, dostępność i pokorność bardziej mu odpowiadają niż dawniejsza wyniosłość i nieprzystępność. „Dziś jest do mojej dyspozycji

¹² Tamże, s. 476.

¹³ Tamże, s. 520.

¹⁴ W *Wyznaniach patrycjusza* o bywalcach paryskich kawiarni napisze: „nienawidziłem kawiarni, w których całymi dniami walczyła się hałastrą obu kontynentów zwana «bohema»”, tamże, s. 442.

¹⁵ Zob. S. Márai, *W podróży...*, szkic *Ulica schodzi na psy* z 4 września 1933 r., s. 20–22.

i to bardzo miło z jej strony” (s. 22), zauważa, swobodnie przechadzając się po zaułkach Champs-Élysées. To spoufalenie z tak widocznie odmienioną ulicą skutkuje niejako jej uczłowiczeniem. Pisarz jowialnie przemawia doń niczym do kobiety, która sporządzała, a w swej ochoczej pracowitości zaczyna nawet przypominać ulicę Królewską w Peszcie. Jest to początek przemian rozciągniętych na lata, po upływie których Champs-Élysées stanie się „porządną, pracowitą, normalną ulicą prostych ludzi” (s. 22). Pisarz jest przekonany, że zmiana charakteru ulicy ściśle związana będzie z korzystnym przeobrażeniem mieszkańców, bo to oni są duszą tego miejsca i najlepiej rozumieją wymogi nowych czasów.

Próbując uchwycić specyfikę Paryża, Márai, wzorem wielu podróżników, mierzy się z mitami tego miasta, nicując je na wskroś sceptycznym komentarzem do opisywanych obrazków. Jednym z takich mitów jest niewątpliwie sława kuchni francuskiej, jak się okaże z relacji pisarza – bądź co bądź konesera kuchni węgierskiej (której hold złożył w powieści o Krúdy *Sindbad powraca do domu*)¹⁶ – nie do końca zasłużona. Próbując zbliżyć się do tego miasta, czy w jakiś sposób z nim spoufalić, poznać jego charakter, zamknięty w smakach i zapachach, stać się na krótko smakoszem tego miejsca, wybiega na paryską ulicę, aby w restauracyjce przy rue Soufflot skonfrontować prawdę kulinarną z mitem. Bo przecież „naród przedstawia się światu nie tylko poprzez dzieła sztuki w muzeach, lecz również przez dzieła swoich kucharzy i kucharek” (s. 17)¹⁷. Siła tych wyobrażeń jest ogromna, a pragnienia i marzenia ponadmiarowe, skoro na zamówione danie Márai czeka niczym na cud. Rozczarowanie było jednak niemałe, trzyfrankowy obiad – porażką, być może dlatego, że dwudziestotrzyletni pisarz nieopatrznie na degustację słynnej francuskiej kuchni obrał niewłaściwe miejsce – jadalnię dla biedaków: studentów, urzędników, sklepikarzy, a przecież kuchnia biedaków jest międzynarodowa, niekoniecznie francuska, czego wówczas, podczas pierwszego paryskiego obiadu, jeszcze nie wiedział. Wprawdzie „wzbogacił się o nowe doświadczenie i poznał rzeczywistość” (s. 18), ale niekoniecznie tym doświadczeniem był smak prawdziwej francuskiej kuchni. Márai nie pisze wprost, że degustacja, a tym bardziej koneserstwo francuskich smakolyków, wymagałyby znacznie większych środków finansowych niż te, którymi dysponował. Taki jednak zdaje się wydzwięk refleksji nachodzącej go w Ogrodzie Luksemburskim nad lekturą węgierskiej gazety, kiedy to rozczarowanie zmieszało się z uczuciem, jak się okaże później,

¹⁶ Zob. S. Márai, *Sindbad powraca do domu*, przeł. i posłowiem opatrzyła T. Worowska, Warszawa 2008. Por. posłowie T. Worowskiej, *Zapis odchodzącego świata*, [w:] tamże oraz B. Zwolińska, *W cieniu przeszłości i nostalgii – Sindbad powraca do domu*, [w:] tejsze, *Pisać to znaczy żyć...*, s. 131–150.

¹⁷ S. Márai, *Z podróży...*, szkic *Kuchnia francuska*.

nieodłącznie towarzyszącym wygnańcom, którzy nie będąc u siebie, mogą co najwyżej poczuć się pariasami, żywiącymi się resztkami z pańskiego stołu. Tego pierwszego wrażenia z jadalni przy rue Sufflot nic nie przesłoni, nie zatrą go smaki wspaniałych posiłków w najlepszych paryskich restauracjach, w których przyjdzie mu później bywać. Posiłek przy rue Sufflot potwierdzi odwieczną prawdę, że wszędzie, w każdym miejscu „biedacy są nieśmiertelni, gotują swoją strawę w wodzie i solą ją łzami – nawet w Paryżu” (s. 19). A może szczególnie w Paryżu, tym mieście-miecie, pełnym kontrastów i zaskakujących sprzeczności: bogatym i wspaniałym, ale też nędznym i podłym, obcym i kupieckim.

O kolorycie, sławie i mityczności francuskiej stolicy stanowi, na inny sposób niż kuchnia, wyobrażenie miłości, które zdaje się być nieodłączne od tego miejsca i w jakimś sensie od języka, w opinii wielu stworzonego do artykułowania miłosnych słów i westchnień. Paryska uczuciowość i styl przeżywania miłości w znacznym stopniu współtworzą *genius loci*, przemieniając Paryż w metropolię zakochanych, gdzie życie naśladuje literaturę i gdzie mieszkańcy „nie mają ważniejszych problemów od miłości” (s. 24)¹⁸.

58

Skłonność do uczuć, paryska tkliwość i romansowość, osławione w literaturze, zdają się jedyną trwałą wartością w gwałtownie zmieniającym się świecie. Co więcej – miasto to, pieczołowicie pielęgnujące swój „miłosny charakter” (s. 26), wbrew powszechnym mniemaniom dalekie jest od prawdziwego uczucia. Teatralny, ceremonialny charakter „długotrwałych zalotów” (s. 26), odgrywanie spektaklu okraszonego wielką liczbą słów i gestów „przy zaskakująco skromnej akcji” (s. 26) nie przeczą autentyczności uczuć. Bo tak naprawdę w Paryżu wszystko jest sztuką: zarówno arie operowe, jak i występ ulicznego śpiewaka czy ceremonialny obiad żebraka na ulicznym bruku. Tym bardziej więc na miano sztuki zasługuje spektakl miłości, przeżywany nie w cichości i ustroniu, lecz na oczach całej ulicy zaludnionej przez paryżan. Sztuka słowa, kunszt zalotów, ceremonie czułości stanowią konieczną oprawę, niejako potwierdzenie autentyczności tego, co się przeżywa. Uczucie musi być nazwane, wypowiedziane czy nawet zagrane, bo inaczej nie istnieje. Taki sposób demonstracji czułego serca określa specyficzną mentalność Francuzów, niejednokrotnie niezrozumiałą w swej odmienności dla przybysza z Europy Środkowej, który – jak pisze Márαι – „przywykł do innych temperatur w naszych złych, zmiennych czasach” (s. 26). Miłość, mówiąc najprościej, jest klimatem tego miasta, zaraża i wciąga do gry, która z aktorskiego popisu przeradza się w prawdę. Co ciekawe, ten teatr miłości uprawiają zarówno bogaci, jak i biedni, ci w centrum i na peryferiach.

¹⁸ Tamże, szkic *Zakochany Paryż*.

Paryż, jak na światową metropolię przystało, to także skupisko cudzoziemców, licznie przybywających turystów, studentów, artystów, w tym również z Europy Środkowej. Zwłaszcza dziesięciolecie przypadające pomiędzy 1920 a 1930 r. obfitowało w napływ „elity i hołoty świata” (s. 36), która nigdy jednak nie mogła liczyć na pełną asymilację. Choć Francuzi zatrudniali cudzoziemców, w głębi serca ich nie cierpieli, ledwie tolerując ich obecność, dostrzegając w barbarzyńskiej kulturze i języku obcych nacji zagrożenie dla czystości francuskiej tradycji. Środkiem zaradczym na tę zarazę obcości stała się uchwalona przez rząd francuski ustawa oczyszczająca Paryż z niepotrzebnych cudzoziemców, zmieniająca to miasto w „międzynarodowe pole walki politycznej” (s. 39)¹⁹. Paryż więc sięgnął po środki restrykcyjne, aby obronić swoją odrębność, a uprzejma gościna zakończyła się stanowczym wyproszeniem obcych z francuskiego domu²⁰. Cudzoziemcy w Paryżu skazani byli bowiem na peryferyjność, na bytowanie w dzielnicach dla biedaków.

Jak wiemy z *Wyznań patrycjusza*, Márai zazwyczaj samotnie przemierzał paryskie ulice i bulwary, zatrzymując się niekiedy w kawiarniach czy restauracjach, by przy kieliszku koniaku poczytać francuską lub węgierską gazetę, spożyć skromny obiad, czy częściej – popatrzeć na siedzących przy stolikach ludzi bądź zza szyb wychodzących na ulicę obserwować paryskie życie, skupiające się właśnie na ruchliwych promenadach. Taki niespieszny, kontemplacyjny i skromny tryb życia, jakie prowadził wraz z Lolą w Paryżu lat dwudziestych i trzydziestych, zdawał się mu odpowiadać. Nie lubił wystawności uciech światowych, nie cenił celebry i blichtru. Wieczorne wyjście do opery czy teatru wprowadzało go w konsternację, tym bardziej że wiązało się z koniecznością nabycia stosownego na tę okazję fraka i wieczorowej sukni dla żony. Paryskie życie pisarz wolał obserwować z innej pozycji, nie tyle przebywając wśród elit i nowobogackich, lecz na uboczu – wśród biedaków, skromnych urzędników, studentów czy ulicznych artystów. Mało reprezentacyjne, zalane tandetą i zaludnione dziwakami zaułki stanowią bowiem o prawdziwym i autentycznym charakterze francuskiej ulicy. To jest jej rdzeń i kwintesencja, nieprzesłonięte przez światła ramp i sztuczne dekoracje²¹.

¹⁹ Tamże, szkic *Métèque wyjeżdża* z 15 maja 1938 r.

²⁰ Paryżanie zarówno Węgrów, jak i innych cudzoziemców traktowali jako podejrzanych, obce przybłędy, na każdym kroku podkreślając swoją wyższość, nie kryjąc „obrzydzenia i nienawiści”. Toteż „obcy, którzy osiedlali się w Paryżu, wobec tej wrogiej atmosfery wybierali metodę mimikry i starali się upodobnić do Francuzów”. Zob. S. Márai, *Wyznania patrycjusza...*, s. 486 i 497.

²¹ Można w tym miejscu przywołać spostrzeżenia Bogusława Żylki, opisującego semiotykę i morfologię miasta, która uległa znaczącej zmianie w czasie, gdyż „Niegdysiejszy podział na centrum (śródmieście) i peryferia (przedmieścia) traci swój dawny charakter. Dynamika zmian społecznych powoduje, że ta opozycja na skali wartości może ulec odwróceniu. Cieszące się dawniej wysokim prestiżem «piękne dzielnice» mogą go tracić, zaś na wartości zyskiwać części miasta uważane niegdyś za «gorsze»”, B. Żylko, *Kultura i znaki. Semiotyka stosowana w szkole tartusko-moskienskiej*, Gdańsk 2011, s. 123.

Przyglądając się Paryżowi widzianemu oczyma węgierskiego pisarza, odnosi się wrażenie, że dominującym uczuciem, jakie wzbudza to miasto, jest obcość, oziębłość i dystans. Kwintesencją tego typu emocji są paryskie niedziele, porażające wręcz swoją namacalną, „lodowatą i mglistą” nudą i beznadziejnością, nasilającymi się zwłaszcza w godzinach popołudniowych. „Straszliwe godziny” (s. 44)²² przepędzane na bezcelowej włóczędce po rozległych przedmieściach i zaułkach śmierdzących moczem, prostytucyjnym występkiem i biedą, kręcenie się w kółko pomiędzy Montmartre’em a Montparnasse’em, zanurzenie w oschłości i zimnie światel domów na Champs-Élysées odsłaniają tę trudną do zniesienia pustynność wielkiej stolicy, cywilizacyjną bezdomność, która szczególnie doskwiera w takich miejscach, skazujących człowieka na anonimowość i alienację. Pustka, „mglista i zimno-kleista, gorzka beznadziejność” (s. 44) osaczają człowieka, przemieniając miasto w przestrzeń więziennie-szpitalną, okrutną i przerażającą. Przestrzeń nie życia, lecz wegetacji, pozbawioną ciepła i bezpieczeństwa. Bo Paryż niedzielnych popołudni wytracony jest ze swojego codziennego rytmu, porządku pracy i używania, zmuszony niejako do odpoczynku, z którego tutaj nie umie się korzystać. Niedzielne popołudnia odsłaniają więc drugie oblicze tego miasta, co znamienne – wcale nienależące do rzadkości. Tak naprawdę w tym krótkim szkicu podróży Márai skreślił typowy portret nowoczesnej przestrzeni wielkomiejskiej metropolii. Londyn, Nowy Jork czy Berlin mogłyby wyglądać podobnie. Paryż nie jest tu wyjątkiem. Gwałtownie rozwijająca się cywilizacja, zaskakująca dynamiką zmian i technicznym postępem, wszędzie pozostawia podobne ślady, a jednym z nich jest, zagubiony w materialnym przepychu i różnorodności oferowanego w nadmiarze towaru, człowiek z jednej strony zatracający swoją jednostkowość w uniformizmie masy, zrównujący się z innymi w jednolitości pragnień i dążeń, z drugiej zaś czujący się w tłumie obco i samotnie.

Niewątpliwie Paryż jest niekwestionowanym sercem Francji, na której obraz składają się też inne, chętnie odwiedzane przez turystów miejsca, takie jak Nicea, Monako, Bretania czy Riwiera. Márai zdaje się być turystą niezwykłym, z pewnością nietuzinkowym, u którego wyostrzony zmysł obserwacji skutkuje zwięzłymi opisami specyfiki tych zakątków, składającymi się jakby na subiektywny bedeker ułożony przez wrażliwego wojażera, potrafiącego w paru zdaniach uchwycić zarówno jaśniejsze, jak i ciemniejsze strony obrazu. Odnosi się wrażenie, iż spojrzenie pisarza pełne jest pobłażliwego dystansu, a zapisywane refleksje sugerują, że nawet przelotna obserwacja, zdawałoby się, że wielce pobieżna i pospieszna, prowadzi do konkluzji, które często są wynikiem długotrwałych,

²² S. Márai, *W podróży...*, szkic *Paryskie niedziele*.

wnikliwych studiów. Márai, poprzez pozornie nieistotny szczegół, banalną sytuację czy drobne zdarzenie, potrafi zarysować specyfikę miejsca, nadać tym drobiazgom symboliczną moc, ogarnąć je wręcz filozoficzną zadumą.

Francja lat dwudziestych wzbudza w Máraiu więcej sceptycyzmu niż zachwytu. Jak inne kraje europejskie, nie wyniosła z doświadczeń I wojny światowej żadnej nauki, nie odnowiła swojego oblicza ani też nie ochroniła swej odrębności, ulegając w krótkim czasie wpływowi amerykańskiej cywilizacji konsumpcji oraz intelektualnych ułatwień, owej tandety myślenia.

Márai nie odnajduje się w tak sprostywowanej Europie, w 1925 r. udaje się na Bliski Wschód, gdzie odwiedza Syrię, Palestynę, Egipt, Liban, Turcję i Grecję. Otwiera się przed nim zupełnie inny świat, w którym, niczym w emigracyjnej powieści *Pokój na Itace*, przenikają się dwie sfery: boska i ludzka²³. W tym, jakże odmiennym od europejskiego świecie, zaczyna dostrzegać szansę na odnowienie oblicza starej Europy. Pragnienie iście romantyczne i co najmniej utopijne. Ale z tą złudną nadzieją wyrusza „tropami bogów”. Kair, odwiedzany w pierwszą noc Bajramu, nazywa zaczarowanym miastem, poddanym atmosferze szaleństwa i rozluźnienia miłosnego, wręcz pogańskiego amoku. Kair z jednej strony przypomina inne miasta – Paryż czy Belgrad, z drugiej – posiada niepodobne do innych, wręcz niepowtarzalne zakątki, przeniecone wschodnim charakterem. Ale te resztki wschodniej niepowtarzalności Kairu padają pod ciosami zachodniej cywilizacji. Miasto zmienia swoje oblicze, a potencjał arabskiej siły, przygnieciony cywilizacyjnym betonem europejskiej gnuśności, może nagle wybuchnąć, by niczym niepohamowany żywioł przerwać tamę betonu-kiczu. Kair jest stwardniałą masą złożoną z wielu elementów, takich jak: „pustynia, nędza, Bóg, krew, cement, wełna, modlący się człowiek” (s. 53)²⁴, tworzących amalgamat nie do rozwiązania.

Márai, człowiek w podróży, ogląda zaczarowane miasta Wschodu, które męczą go natrętną teatralnością. Hajfa i Jaffa, Aleksandria, Liban i Bejrut zdają się kwintesencją egzotyki, niezwykłości, spełnieniem marzeń, a nawet wyobrażeniem raj, kołyski ludzkości. Pragnienie poznania baśniowości Wschodu, zanurzenia w ten wysniony świat, przekroczenia symbolicznej bramy prowadzącej do kolebki kultury ludzkości okazuje się tak wielkie i nieodparte, że Márai gotów jest na niebezpieczeństwa, aby tylko znaleźć się

²³ Pierwsza emigracyjna powieść *Pokój na Itace* S. Máraia z 1952 r. (polski przekład: I. Makarewicz, Warszawa 2009) opowiada o tulących losach Ulissesa, przez wiele lat zdążającego do ukochanej Itaki. Márai przewartościowuje starożytny mit, dyskutując z jego niejednoznacznością wykładnią. Historia herosa staje się też aluzją do emigracyjnego tułactwa XX w. Więcej na ten temat piszę w rozdz. *Drogi i bezdroża ludzko-boskiej egzystencji – Pokój na Itace*, [w:] B. Zwolińska, *Pisać to znaczy żyć...*, s. 209–230.

²⁴ S. Márai, *W podróży...*, szkic *Zaczarowane miasto* z 15 czerwca 1926 r.

w Bagdadzie, za którym rozciąga się tajemnicza i niepoznana Persja. Wschód jest niezmierny, różnorodny i kolorowy, ale też „gwarny i leniwy, roztańczony i filozoficzny, rozrzutny i fanatyczny” (s. 66). Wschód prowokuje i przyciąga swoją innością, zaskakuje odmienną mentalnością mieszkańców, jest „spokojny, bogaty i brudny” (s. 66). Nie sposób mu się oprzeć, bo rzuca na Europejczyka zniewalający czar, rozbudzając głód wrażeń, popychający wciąż naprzód. Przybysz z Europy, niczym zahipnotyzowany, podąża od miasta do miasta, nie wiedząc nawet, czego dokładnie poszukuje. Ból głowy, który męczy Máraia w Bejrucie, może być odpowiedzią na tę feerię barw, migotliwych, rozpalonych słońcem krajobrazów, na przesyt, który dopada go w ścisłości i zatłoczeniu labiryntowych zaułków. Niepokój, nerwowość i grubiaństwo, przywleczone przez Francuzów, stanowią zewnętrzną powłokę, powierzchowny kolonialny luksus we francuskim stylu, który jest kiepską imitacją wystroju paryskich ulic. Ale kwintesencją Wschodu staje się ów zagubiony w zrujnowanym przez wojnę bocznym zaułku sklep z antykami, pozornie zbiór kiczowatej tandety, w istocie jednak zaczarowany Sezam, kryjący w sercu, za kratami, prawdziwe skarby Wschodu: posążki, biżuterię, bajeczne dywany i brokaty. Strzegący ich Arab z pobłażliwą wyższością spojrzy na nędzarza z Europy, który na widok wycenionych w złocie skarbów poczuje prawdziwy zawrót głowy²⁵.

62

W postawie Máraia, przemierzającego Europę i Bliski Wschód, wiele jest rysów romantycznego postrzegania tej formy aktywności jako pewnego stylu życia. Wojażowanie staje się równoznaczne z egzystencją, która jest tym pełniejsza, im intensywniej człowiek zdąża od kraju do kraju, poznając innych ludzi, ale przede wszystkim samego siebie. Życie jest nieustannym ruchem, napędzanym dynamiką zmian, nieuporządkowanym albumem z podróżnymi fotografiami – migawkami układającymi się w niespójną historię. Bardzo ważny dla pisarza staje się etap drogi i obserwacja towarzyszy podróży, która jednak napawa sceptycyzmem, ujawniając postawy konsumpcjonistyczne, niemające nic wspólnego z dawniejszym stylem pionierskiego odkrywania świata, ze świeżością zachwyty i próbą zrozumienia odmienności kultur i ducha zakłętego w starożytne budowle. Współczesny turysta jest wysłannikiem ze świata komfortu, który opuszcza na krótko i nie bez wyrzeczeń. Dlatego w zamian oczekuje stosownej nagrody: odrestaurowanych zabytków, lokalnych pamiątek za bezcen, niezapomnianych widoków, które utworzą barwną kolekcję fotografii z Kodaka. Turysta ten, pochodząc ze świata cywilizacji, będąc człowiekiem wielkomięskim, nie rozumie znaków natury, nie potrafi odszyfrować śladów starożytnej przeszłości. Nastawiony jest na łatwe i pobieżne poznanie krajów i miast, przez które

²⁵ Tamże, szkic *Przed bramą Wschodu* z 7 lipca 1926 r.

przejeżdża. Obcy jest mu trud błędzenia po bezdrożach i bocznych zaułkach. Porusza się po oznakowanych w bedekerach szlakach pod opieką przewodnika objaśniającego mu zwiedzane osobliwości. Ów turysta, prowadzony za rękę, pospiesznie utrwała swoją obecność w tych miejscach na licznych zdjęciach, na których to on jest na pierwszym planie, dla miejsca zwiedzanego rezerwując jedynie rolę tła. Co ciekawe – zauważa raczej podobieństwo niż odmienność i niepowtarzalność Agrygentu, który jest taki jak Eger czy Miszkolc. Nie widzi nic osobliwego w Wenecji, Palermo czy Leptis Magna, narzekając, iż za pieniądze przywożone tu przez turystów takich jak on należałyby się im chociażby odnowione zabytki. I w końcu z tych egzotycznych podróży pozostaje „trochę pigmentu w skórze i w oczach iskra blasku wielkiego, okrutnego południowego słońca. Z czasem i to zblaknie” (s. 88)²⁶, podsumowuje Márai filozoficznie. Bo niegdysiejszy podróżny, chociażby węgierski przodek, który pół życia przepędzał w siodle, z jego wysokości poznając świat, w niczym nie przypomina współczesnego kolekcjonera podróży widokówek, wypełnianych tą samą treścią, niezależnie od tego, z jakiego miasta są wysyłane. Pocztówek, które zwykle przychodzą później, niż powraca do domu niespokojny wędrowiec, niebędący w stanie poświęcić zbyt wiele czasu jednemu miejscu. Niecierpliwość zwiedzania przemienia się w zwyczaj zaliczania kolejnych miast. Ten brak filozofii zwiedzania, specyficznego nabożeństwa, z jakim kiedyś wyruszano w podróż, Márai określa jako przypadłość współczesnego świata, powierzchownego, goniącego w opętanym tańcu wciąż naprzód, bez zatrzymywania się na choćby krótką chwilę refleksji i kontemplacji.

W *Albumie* dalekiego i nieznanego krewnego, który wykleił ów pamiętnik z podróży fotografiami sprzed stu lat, nostalgicznie zauważy: „Obcy już nam ten drobiazgowy, odświętny, nieśmiały i delikatny sposób oglądania, odczuwania, nasłuchiwanie świata. My każdego lata rzucamy się na niego jak szaleni, opychamy się nim obiema rękami. Wszystkiego nam mało!” (s. 90)²⁷. Zachłanność i pośpiech zabijają wrażliwość i odwracają uwagę współczesnego wojażera od tego, co ważne i ciekawe, dlatego „kto dziś wybiera się w podróż, pospiesznie wysyła jedną – dwie kartki z «tego pięknego miejsca» i uważa za naturalne, że to piękne miejsce jest Kopenhagą czy Wenecją. Sto lat temu podróżny wymawiał jeszcze te nazwy z nabożeństwem” (s. 90). To, co dla przodka było nowością, dla nas jest czymś znanym, oglądanym wcześniej w prospekcie czy telewizji. Toteż nasze „błyskawiczne” podróże zdają się służyć jedynie sprawdzeniu i konfrontacji medialnego obrazka z rzeczywistością. A skoro „podróżny sprzed stu lat jeszcze marzył o świecie jak o trudnym i zarazem wspaniałym przeżyciu” (s. 91), my zaś pobieżnie przebiegamy świat,

²⁶ Tamże, szkic *Podróż statkiem po Morzu Śródziemnym* z 25–28 lipca 1933 r.

²⁷ Tamże, szkic *Album* z 11 sierpnia 1938 r.

to zasadne staje się pytanie, jaki ma sens peregrynacja odarta z nabożności? Czy warto wyruszać w drogę, skoro podróż nas nie wzbogaca? Nie bez przyczyny Márai przekonuje, iż w podróżach liczy się nie odległość, lecz wrażliwość, uczuciowość, „nastawienie” podróżnego, goniącego nie za modą miejsc oferowanych w turystycznych katalogach, lecz kierującego się przyjemnością mądrego poznawania świata i siebie. Pomysł antybedekera zdaje się wyzwaniem dla krzykliwych, wyretuszowanych zdjęć z katalogów, bo – jak przekonuje Márai – człowiek najprędzej przeżyje wtajemniczenie w świat i odbędzie podróż w głąb siebie w miejscach nieuczyszczanych, na peryferiach i antypodach sławnych kurortów i lotnisk. Mądra, prawdziwa i autentyczna podróż prowadzi do wewnętrznej przemiany, do symbolicznej śmierci starego człowieka, by mógł się narodzić nowy, gruntownie odmieniony, lepszy i pełniejszy.

Szczególne zamilowanie Máraia do miejsc dalekich od centrum, do peryferyjności wzbogacającej człowieka o wrażenia, których trudno poszukiwać w sercach wielkich miast, widać w jego postrzeganiu Wenecji, która była dla niego miejscem szczególnym. Wynikało to zapewne z wielokrotnie deklarowanej sympatii dla Włoch, ale i z niepowtarzalnego klimatu takich miast, jak Wenecja, Asyż, Padwa, Neapol czy ukochane Posillipo, któremu złożył hold w *Krwi świętego Januarego*. Wenecja, uwieczniona w *Występie gościnnym w Bolzano*, wyzwala nostalgię i świadomość, że gdyby nie Kassa i Budapeszt, mogłoby to być ukochane miejsce na ziemi. Magnetyczny urok miasta, wspomnianego podczas podróży „Oceania” po Morzu Śródziemnym, prowokuje do zaskakującego, pełnego paradoksów wyznania. Márai zauważa bowiem:

Ilekróć przyjeżdżam do Wenecji, robię się podenerwowany, niespokojny i odczuwam wyrzuty sumienia. Uświadamiam sobie, że przegrałem życie, które powinienem był przeżyć tu, nigdzie indziej. W Wenecji źle sypiam, dręczy mnie nostalgia za Wenecją, na każdej ulicy jestem gotów usiąść w kawiarni i siedzieć tak bez słowa, sztywny ze szczęścia. Rozumiem, że za Wenecję dopuszczano się rabunku i morderstwa. Gdybym był państwem, ukradłbym ją którejs nocy, kiedy tonie we mgle (s. 87).

W postawie Máraia, przypatrującego się zamglonemu miastu, wiele jest z literackiej kreacji Giacomina Casanovy, bohatera *Występu gościnnego w Bolzano*, zmagającego się ze sprzecznymi uczuciami – miłości i nienawiści, płynącymi ze zniewolenia urokiem, czarem tego miasta i pragnieniem wyrwania się zeń. Dlatego wypowiada peany na jego cześć, by za chwilę je przeklinać. I w tym przemiennym rytmie sprecznych uczuć widzi to miejsce, pełne nieprzemijającego uroku²⁸.

²⁸ Zob. S. Márai, *Występ gościnnym w Bolzano*, przeł. F. Netz, Warszawa 2005. Na temat ambiwalentnego stosunku Giacomina Casanovy do Wenecji piszę w szkicu: *W gąszczu znaczeń – Występ gościnnym w Bolzano*, [w:] B. Zwolińska, *Pisać to znaczy żyć...*, s. 42–65.

Do Wenecji Márai powracać będzie w kolejnych szkicach, zauważając, iż jej niezmienne piękno „jest niezależne od widokówek, par spędzających tu podróż poślubną i wspomnień”, podobnie jak „wieki nie zdołały jej zaślnić swoim lepkiem entuzjazmem” (s. 96)²⁹. Jednakże współczesny podróżnik nie jest w stanie poświęcić Wenecji należytej uwagi, kazi jej ogląd swoją niecierpliwą pośpiesznością, grzeszy roztargnieniem i skłonnością do pochopnego oglądu. Nie potrafi wchłaniać zapachów i barw Wenecji tak, jak to czynił Goethe, który „przybywał tu znacznie wolniej”, czy Byron, który też „wolniej podróżował”, a to świadczy, że „mądrzej, głębiej żył” (s. 97). Ale Wenecja bywa „zmęczona”, brudna, zaspana wczesnym rankiem po męczącej nocy, odarta z magicznego uroku dnia i zmierzchu. Przyglądając się tej porannej Wenecji, Márai notuje, iż „z Wielkiego Kanału dochodzi [go] duszący, alkaliczny smród chloru, ulice są nieprzewietrzane” (s. 102). „To nie Wenecja cudzoziemców. Nie Wenecja nowożeńców, z gołębiami, które siadają pannie młodej na ramieniu. Zatłoczone, zaniedbane, oszukańcze miasto średniowieczne leży tu w bamboszach i malowniczych łachmanach” (s. 103). Ta prawdziwa, niepodkoloryzowana twarz miasta prowincjonalnego, starego i brudnego, przytłacza swoją szarzyzną, zużyciem, przygnębieniem i smutkiem. Márai dochodzi do wniosku, iż sztuczne, wieczorne życie miasta barwnego i ożywionego w czas karnawału nie jest autentyczne, raczej konwulsyjne i wysilone. To „turyści zmuszają je do nieustannej ekstazy. Zostaje samo dopiero o czwartej nad ranem” (s. 103). Wenecja, „zobowiązana światową sławą” i sukcesem turystycznym, próbuje nadrobić oczekiwania świata, a to nie wychodzi jej na dobre. „Kiedyś panowała. Teraz jest już tylko najpiękniejszym prowincjonalnym miastem świata” (s. 103).

Właśnie takie oblicze Wenecji ogląda powieściowy Casanova w *Występie gościnnym w Bolzano*, a pomiędzy nim a przestrzenią, w której się znajduje, zachodzi zastanawiająca równoległość. Miasto odświeżone, karnawałowe, ukryte za kolorową maską, staje się zwierciadłem boskiego kochanka, ustrojonego w bajeczny kostium, by po nocnych eskapadach przerażać zmiętą, szarą twarzą, skrytą w poduszkach, podczas gdy miasto w tym samym czasie chowa swoje zmęczone oblicze we mgłę kanałów. Tak jak podstarzałemu kochankowi potrzebny jest upiększający retusz, tak za sekretem urody miasta kryje się „mnóstwo zabiegów kosmetycznych” (s. 104). Jednak w rzeczywistości jego oblicze jest „stare, chore, zwiędłe i zmęczone” (s. 104). Ta Wenecja „nieoficjalna”, zakulisowa, pomiędzy czwartą a piątą rano, obnaża swoją prawdziwą twarz, nieretuszowaną reklamą z przewodników. Ale ten właśnie wygląd Márai ceni najwyżej, uciekając przed

²⁹ S. Márai, *Z podróży...*, szkic *Weekend* z 28 czerwca 1928 r.

przebudzeniem „prospektowej”, turystycznej Wenecji, porównywanej do przedstawienia z orkiestrą, odgrywanego w ostrym świetle lamp. Bo „w tym mieście jest coś tajemniczego, nawet teraz, kiedy tak nieświadomie się odkrywa. Nastrój przygody, krwi i namiętności zastępuje atmosfera bezradności i smutku małego miasteczka” (s. 104), zauważa.

Podobnie więc jak w Paryżu pisarz cenil ustronne zaułki, pełne tandetnych kramików i brudnych bulwarów, a nie reprezentacyjną Champs-Élysées, tak tu przegląda się w mętnych wodach kanału, niedoświetlonych kolorowymi lampami ulicy. Symbolem Wenecji jest gondola, „obejmująca człowieka niczym kochanka z zaświatów” (s. 107)³⁰. Gondola jest jak kołyska i trumna, stające u progu i kresu życia. Gondola współtworzy czar tego miasta, staje się niezbędnym środkiem lokomocji dla przybysza, czyniąc z niego niewolnika. Czy z gondoli można poznać miasto i poczuć się wśród labiryntowych kanałów „jak syn marnotrawny, który powrócił w rodzinne pielesze” (s. 106)? W jakimś sensie to jest właściwa perspektywa oglądu. Márai czuje się w irracjonalny, trudny do wytłumaczenia sposób związany z tym miastem, które jest „tajemnicze, twarde i odporne” (s. 106). Twierdzi wręcz, że „Wenecja należy do życia jak narodziny i śmierć” i że „każdy ma dwa miasta rodzinne. Jednym z nich jest Wenecja” (s. 106).

66

Migawki angielskie z kolei przepełnione są sceptycyzmem i dystansem, wynikającym w znacznej mierze z niechęci do Anglików i ich świata pogrążonego w inflacji, co skutkuje zarówno niechęcią tej nacji do podróży, jak i zamianą Londynu w miasto do wynajęcia. Márai z uwagą przypatruje się tej ubożejącej i wyprzedającej się metropolii oraz deklasacji angielskiej burżuazji, procesowi przebiegającemu „wstydliwie i dyskretnie” (s. 127)³¹. Porównuje Londyn do „prerażającego i smutnego olbrzyma” (s. 127), który w dzień jest „cichy i utemperowany”, by o północy przemienić się w „wielki jarmark świata” (s. 127). Londyn do wynajęcia, gdzie formy życia zmieniają się niezauważalnie, to miasto obniżającego się standardu bytu, który w sposób sekretny, cichy i elegancki „usuwa się Anglikom spod nóg” (s. 128).

W Londynie szczególnym miejscem jest Whitechapel, dzielnica nędzy, której oblicze dalekie jest od malowniczości, raczej już ma międzynarodowy charakter, bo nędza wszędzie na świecie jest taka sama: „stara i rozległa” (s. 129)³². Dzielnica ta, zwiedzana niczym egzotyczny ogród zoologiczny, utrzymuje się z ożywionego handlu i, o dziwo, zaczyna wchodzić w modę niczym podróż dookoła świata. Bo nędza tutaj ma inny charakter niż środkowoeuropejska, będąc bardziej „żywą i dostatniejszą”, a przy tym jest „estetyczna,

³⁰ Tamże, szkic *Gondola* z 25 sierpnia 1939 r.

³¹ Tamże, szkic *To let* z 24 września 1933 r.

³² Tamże, szkic *Whitechapel* z 5 października 1933 r.

rażna i wypielegnowana” (s. 132). Londyn nieodmiennie jednak kojarzy się autorowi *Wyznań patrycjusza* z nudą, samotnością i erotyką podszytą hipokryzją³³. Spacerując rankiem po zanurzonym w jesiennej mgle Hyde Parku, postrzega ten zakątek, na którego trawnikach wylegają się bezrobotni, jako symbol angielskiej demokracji, w której żebrania jest zabroniona i w której „bezrobotni również muszą pracować, jeśli chcą otrzymać datek” (s. 140).

Z kolei specyfikę odwiedzanego w latach dwudziestych Berlina określa taniec, konkretnie zaś modny w sezonie jazz: „gwałtowny, nienaturalny, agresywny dźwięk” (s. 165)³⁴, kakofonia, której Márai nie jest w stanie polubić. Jednakże sam Berlin wzbudza w nim sympatię jako „ten prawdziwy, wielki, zapracowany, żywotny” i jako ten, od którego „nie sposób odwrócić [...] oczu” (s. 172)³⁵. W jego dzielnicach pisarz, poznający nocne oblicze miasta, czuje się częścią tłumu. Są tu też takie zakątki jak piwnice Schöner Georg, gdzie blakają się „szczury świata”, kryminaliści, wyrzutkowie społeczeństwa, co „siedzą tu pod ziemią niczym tasiemce w kiszkach potwornie wielkiego miasta, tworząc żyjące według własnych praw, odrębne społeczeństwo, które zawsze istniało, istnieje i nie ma z nami, istotami nadziemnymi, nic wspólnego” (s. 175).

W niemieckich szkicach Márai wspomina niefraszobliwy okres dandyzmu w Berlinie, wypełniony literaturą i pragnieniem wolności. Żył wówczas wykwitnie w „eleganckim i ładnie pachnącym świecie” (s. 177)³⁶, w którym zadziwiała niemiecka akuratność i skrupulatność, przejawiająca się również w stosunku do palaczy – w wydzieleniu im osobnych wagonów w tramwajach, metrze i autobusach³⁷. Wypięknie, eleganckie, ale o sztucznej, kosmetycznej urodzie miasto w karnawałowej oprawie przygotowuje się już do balu „z nożem w rękę”, wzbudzając niepokój faszystowskimi emblematami: opaską nazistów na ramieniu młodego człowieka i swastyką na puszcze z datkami³⁸. Wnikliwą diagnozę tej zmienionej w latach trzydziestych sytuacji w Niemczech przynosi szkic z 29 stycznia 1933 r., *Mesjasz w Pałacu Sportu*, będący relacją z wiecu z udziałem 25 tysięcy Niemców wsluchanych w przemówienie Hitlera³⁹. Narodziny politycznego fanatyzmu,

³³ Zob. S. Márai, *Wyznania patrycjusza...*, s. 533–540.

³⁴ Tamże, szkic *Jazz* z 11 września 1921 r.

³⁵ Tamże, szkic *Kolejka podziemna* z 18 marca 1922 r.

³⁶ Tamże, szkic *Kalendarz* z 8 października 1937 r.

³⁷ Zob. tamże, szkic *Dobre niemieckie porządki* z 7 września 1933 r., s. 179–181. Do Berlina Márai przybył jako dwudziestojednoltni młodzieniec, nie ukończywszy rozpoczętych w Lipsku studiów dziennikarskich. Podkreślanym w *Wyznaniach patrycjusza* wrażeniem z tego miasta jest prowincjonalność (podobnie zresztą wypowiada się o Lipsku), niewartościowana jednak pejoratywnie. W Berlinie pisarz jasno uświadamia sobie, iż jego przeznaczeniem jest tworzenie literatury, a nie uprawianie żurnalistyki.

³⁸ Zob. tamże, szkic *Niemiecki karnawał* z 23 stycznia 1933 r., s. 182–183.

³⁹ Paweł Goźliński przekonuje, że choćby tylko dla tego jednego fragmentu warto *Z podróży* przeczytać. Relacja z parteitagu w Pałacu Sportu, kiedy to „naziści czczą swojego męczennika Horsta Vessela”,

postrzeganie Führera jako Boga, atmosfera religijnego nabożeństwa – wszystko to niepokoi zagranicznego dziennikarza, który z dystansem, ale i z niepokojem przygląda się temu, w jaki sposób naziści osiągają sukces, zasłaniając swoje okrucieństwo maską uprzejmości. Zauważa, że „na ogół naziści w hali są bardzo uprzejmi. Z ludźmi tego rodzaju zawsze tak jest: jeśli akurat nie mordują, są niemal sympatyczni. Trzeba tylko wybrać odpowiednią chwilę do kontaktów z nimi” (s. 186). Zachowanie rozhisteryzowanego tłumu porównuje do wrzeszczących w zapamiętaniu derwiszów i „ludzi śmiertelnie zrozpaczonych” (s. 186). Nazistowska twarz niemieckiego społeczeństwa przeraża, bo objawia się w potędze tłumu ulegającego niezdrowym emocjom. Bezstronny obserwator, akredytowany jako wysłannik gazety, czuje się w tym fanatycznym tłumie nieswojo, bo jest w mniejszości. Dlatego pisze, że „zaczyna[m] odczuwać dyskomfort, jakby[m] był zamknięty w jednej sali z dwudziestoma pięcioma tysiącami obłąkanych” (s. 188). Tę nazistowską twarz, ukształtowaną przez społeczeństwo o „chorych ideach” (s. 188), określa jako „zmilitaryzowaną, wciśniętą w mundur ulicę”, „zuniformizowany motłoch”, „zmobilizowany instynkt stadny, utrzymywaną i opłacaną brutalność, wymuszone kijem posłuszeństwo i entuzjastyczne oddanie egzekwowane kolbą” (s. 188). Ale społeczeństwo niemieckie nie jest jednolite, raczej rozdwojone i podzielone, obok tej nazistowskiej, zahipnotyzowanej twarzy posiadając też normalne oblicze. Márai jednak niepokoi fakt, iż ta jedna piąta wiernych słuchaczy, wyznawców Mesjasza ze Sport Palast, wygłaszającego swoje credo z jednolitą monotonością od trzynastu lat, weźmie górę, przysparzając „Niemcom, Europie i światu niewyobrażalnych szkód, chaosu i zagrożenia”. Złowieszczo i proroczo brzmią słowa kończące ów szkic: „Póki ta jedna piąta jest zwarta i trzyma się razem, póty nie ma mowy o pokoju na świecie. Mówię to, bo widziałem te twarze!” (s. 190)⁴⁰.

przemienia się w proroczą diagnozę zwycięstwa zwolenników Hitlera na całym świecie. Jak zauważa Goźliński, „swoiście religijny charakter tego święta każe Máraiemu opisywać je w kategoriach mesjanistycznego rytuału. To jeden z najlepszych reporterskich opisów oddziaływania Hitlera na masy, ciągle aktualny, choć nie sprawdziły się diagnozy węgierskiego pisarza. Wierzył, że naziści nigdy nie zdobędą w Niemczech władzy, że demokracja się obroni. Nie obroniła się, kolejne lata przyniosły rozpad kultury, którą Márai mitologizował w swoich *Wyznaniach patryjuszka*. A on sam stał się jednym z najważniejszych świadków i interpretatorów tej katastrofy”. Zob. P. Goźliński, *Sandor Márai, W podróży*, www.wyborcza.pl/56,75475,10830049 [dostęp: 1.04.2012]. Oczywiście autor recenzji nie ma racji, twierdząc, jakoby Márai omylił się w ocenie sytuacji politycznej. Wręcz przeciwnie – prorokował zwycięstwo nazistów w Europie. I tak się stało. Przenikliwym studium hitleryzmu jest jedna z części *Dziela Garrenón, Znieważeni*, w polskim tłumaczeniu T. Worowskiej wydana w 2012 r.

⁴⁰ W jednym z fragmentów *Wyznań patryjuszka* Márai pisał o szkodliwości stereotypów przykładanych do różnych nacji, etykietek przylepianych np. Niemcom czy Francuzom. W rzeczywistości każdy naród jest wewnątrznie podzielony, tak jak w Niemczech lat trzydziestych, w których obok fanatycznych wielbicieli munduru spotkać można innych – kochających wielką literaturę, wrażliwych i myślących. Por. S. Márai, *Wyznania patryjuszka...*, s. 435–439.

Berlin jest mimo wszystko tym miastem, do którego podróżny krążący po świecie chciałby powrócić. Takim miejscem będzie Wenecja, ale i Wiedeń, o którym Márai myśli „jako o jedynym mieście, w którym mógłby żyć” (s. 191)⁴¹. Bo Wiedeń jest wymarzoną przestrzenią dla „emerytowanych pisarzy i artystów” (s. 191). Podsumowując czas młodości, czyniąc rekonesans życia w wieku czterdziestu lat, Márai zdumiony uświadamia sobie, że świat przestał go pociągać⁴². Podczas letniego wieczoru w Paryżu 22 czerwca 1941 r. dochodzi do przekonania, iż osiągnął pełnię życia, nie żałuje niczego, żadnej przeżytej chwili, choć popełnił niejedną błąd i żył w grzechu. Toteż przeglądając *Widokówki* z podróży, skomentuje ową osobliwą równoznaczność podróży-życia:

Cudowne było wszystko razem, więc nie potrafię uwolnić się od wspomnień, tęsknię do wszystkich tych miejsc naraz i z osobna, do każdego zakątka, niespokojnie i żałośnie. Bo to była wspaniała podróż. I wspólna – brała w niej udział cała ludzkość. Wszystkie krajobrazy i wszystkie miasta znaczyły dla nas to samo, pozostawiły takie samo wspomnienie. Co to za wspomnienie? Młodość (s. 192).

Czas podróży po świecie Márai postrzega jako bardzo ważny etap edukacji życia, empirycznie doświadczanego przez młodego człowieka zdobywającego pierwsze szlify dziennikarskie, przygotowujące go do pisarskiej drogi, będącej najgłębszym sensem jego egzystencji. Podróże kończą okres młodości, niezwykle intensywnie przeżywanej, bogatej we wrażenia i różnorodne doświadczenia. Na ten czas Márai spogląda z nostalgią i zadumą, ale i z dystansem właściwym oglądowi czegoś, co minęło, stanowiąc etap nieodwracalnie zamknięty. Dla niego jest to pożegnanie Europy i swojej młodości, konstatacja gorzkiego dojrzewania w czasie i miejscu rozpadu.

Szkice *Z podróży*, zestawione z *Wyznaniem patrycjusza*, układają się w komplementarną całość, wzajem się oświetlającą i dopełniającą. Gdyby dodać do tego relację z podróży na Wschód *Na tropach bogów* oraz *Ziemię! Ziemię!* i *Dziennik*, to obraz życia-podróży byłby jeszcze pełniejszy. W *Wyznaniach patrycjusza* Márai o decyzji powrotu na Węgry pisze, iż pojawiła się nagle, będąc naturalną reakcją organizmu „przesyconego” Europą, ostatecznie rozczarowanego wielkoświatowym Paryżem, mitycznym Wschodem czy bogatą Szwajcarią, zanurzoną w wywołującym mdłości „chomiczym” dobrobycie. Dla niego ojczyzną pozostawały Górne Węgry i Koszyce, choć właśnie do tego miasta nie mógł powrócić. W Europie pisarz pozostawał „absolutnym prowincjuszem”⁴³, ale o powrocie do Budapesztu myślał bez entuzjazmu, postrzegając to jako konieczność, z którą nie można

⁴¹ S. Márai, *Z podróży...*, szkic *Wiedeń*.

⁴² Tamże, szkic *Kwieciowa podróż...*, s. 193.

⁴³ S. Márai, *Wyznania patrycjusza...*, s. 461.

zwlekać. Był to wewnętrzny nakaz, przed którym nie ma ucieczki, poczucie, iż pewien etap życia zamknął się „ostatecznie i całkowicie”⁴⁴. Márai zauważył: „Musiałem wracać do domu: i na ten rozkaz zareagowałem uczuciem buntu, protestu, niechęci”⁴⁵. Ojczyzną dla niego pozostanie język węgierski, którego nie usłyszy w Paryżu, Berlinie czy nawet w Posillipo. Dlatego do Budapesztu powraca nie jak pelen skruchy syn marnotrawny, lecz twórca mogący istnieć tylko w ojczystym języku. Wraca z Montreux i Tyrolu, po drodze zatrzymując się w Monachium i Salzburgu, a także spędzając kilka tygodni we Wiedniu, jakby chcąc odroczyć ostateczną decyzję. Pierwsze zetknięcie z Węgrami na stacji granicznej w Hegyeshalom przynosi doświadczenie biedy, ale i wywołuje poczucie solidarności w tej swojskiej nędzy, którą powinno się dzielić z rodakami. Pisarz wspomina te doznania w sposób bardzo prosty, bez niepotrzebnego, ckliwego patosu:

[...] stara kobieta w chustce na głowie sprzedawała ciastka, a bosi chłopczek gazety i papierosy. Byli nędznie odziani. Patrzyłem na nich z okna pociągu i przeniknęło mnie nieznane dotąd współczucie i uczucie wspólnoty. Muszę tu żyć razem z nimi, pomyślałem. I poczułem wielkie uspokojenie, że tak właśnie powinno być. Zrozumiałem tylko, że godząc się na wszelkie konsekwencje tego kroku, powróciłem do domu⁴⁶.

70

Budapeszt i Węgry nie na długo jednak staną się jego domem.

SUMMARY

On the periphery of large cities. Casus of Sándor Márai – writer and traveller

In this article, I want to focus on the specifics of the travelers experience of Hungarian writer Sándor Márai. I examine this problem based on his sketches *From the Journey* (Polish edition of 2012) and earlier *Patrician's Confession* (2002). I am particularly interested in existential nature of his initiatory journey through Europe and the Middle East, his

⁴⁴ Tamże, s. 461.

⁴⁵ Tamże, s. 461.

⁴⁶ Tamże, s. 462.

sensitivity to beauty, but also to the ugliness of the world, as well as the specifics of the search peripherally, small citizens in major cities: Paris, Venice, London and Berlin in 20s and 30s of the twentieth century. Writer much more than urban centers attracted to the antipodes, alleys of poor, beggars and street artists, such as White chapel, London's poverty. This is due to his perceived alienation and rootlessness experience, characteristic of the immigrant and exile, as well as the knowledge that he is closer to the poor than to the wealthy residents of the centers. The writer has repeatedly mentioned seconds guide book arrangement in which space would be exposed places by passed by tourists, and according to him, more interesting than recommended in the guides monuments and tourist attractions. It can be assumed that the sketches *From the Journey* is a successful attempt to implement this idea.